

Hela usiadła w milczeniu.

— O czym to mówiliśmy? Aha! O panu Razyckim... Naturalnie, masz rację, nie mnie to nie obchodzi, czy on się kocha w tobie, lub nie! Sama nie wiem, skąd mi przyszło do głowy pytać o to... O, taki babski kaprys. I ja miewam czasem kaprysy. Ale może ty gniewasz się o to na mnie?

— Nie, nie gniewam się — odpowiedziała cicho i bardzo łagodnie Hela.

— Oj! Coś zaczynasz dramatyzować. Nie lubię tego... Poczekam zatem, aż ci opuści ten tratata-tratata tratatagiczny nastrój i tymczasem przeczytam sobie gazetę.

Sęgnęła ręką po leżącą na stoliku wielką płachtę dziennika i zaczęła go przeglądać.

Przebiegła oczyma artykuł wstępny, przejrzała telegramy, a potem przerzuciła się do anonsów...

— Hm... Hm... W jednym numerze aż dziesięć ogłoszeń małżeńskich!... Co ty myślisz o tem, Hela? Na naszym partykularzu taka metoda nie jest popularna, ale podobno za granicą mnóstwo małżeństw w ten sposób się kojarzy. Naturalnie romantyzmem to nie traci, ale ścisłością kupiecką... Ty to, ja to i koniec. Co ty o tem sądzisz?...

— Nie myślałam o tem nigdy...

— No, przeważna część takich anonsów to „kawaty”... Ale wiesz, tutaj jest jeden bardzo ciekawy, prawdziwie wojenny i zdaje się poważnie traktowany. Posłuchaj! „Inwalida bez ręki, wdowiec z trojgiem dzieci, z powodu braku znajomości poszukuje na tej drodze towarzyszkę życia, dobrej, łagodnej, skromnej, pracowitej, która mogłaby jemu i dzieciom zapewnić troskliwą opiekę. Uroda i majątek obojętne.” Z tem uroda nie wchodzi w grę, tylko zalety charakteru... Ciekawe!...

Hela nie odpowiadała. W głębokiej, smutnej zadumie spoglądała przez otwarte okno na sad, ogłoszony już z owoców.

Witowtówna czytała jeszcze chwilę, wreszcie rzekła:

— Wiesz, to ogłoszenie mnie interesuje... Pozwolisz, że je sobie wytnę...

Kornela odjechała jeszcze tego samego dnia. Hela nie zatrzymywała jej wcale.

ROZDZIAŁ XIII.

— Zauważyłaś Anielko, że Ludwik od niejakiego czasu zmienił się? — zapytał Walczak żonę.

Anielka, która na batystowej, cieniutkiej chusteczce bardzo starannie znaczyła wodnymi farbami drobny monogram, podniosła głowę z ponad swojej roboty.

— Zmienił się? O ile? Pod jakim względem?

— Osowiał jakoś, zesmutniał, stał się małomówny i jakby rozdrażniony...

— Dobra, nie zwróciłam uwagi... Cóżby to być mogło?...

— Nie wiem, ale zmiana jest widoczna... A czy nie spostrzegłaś także, że panna Lidzińska jakoś stroni od nas, przychodzi rzadziej, a i Ludwik daleko więcej czasu spędza w domu...

— Bo teraz dni deszczowe, nie może więc chodzić na spacer!...

— E! Anielko! Opuściła cię zdaje się, przenikliwość kobieca i muszę cię pod tym względem zastępować... Prawda, że ty teraz o niczem innem nie myślisz, jak o Józi, jej małżeństwie i wyprawie...

— Przyznam ci się, że do prawdy tak jest... Tyle z tem wszystkiem zajęcia, krętaniny... A tak bym chciała już widzieć Józię mężatką, żoną Michnika... Odetchnę, jak wydam tę moją „córkę” za męża.

— Wydajże ją już raz, wydaj!... Ty przynajmniej będziesz miała spokój, zato na głowę Michnika spadną wszystkie niepokoje...

— Dlaczego niepokoje? Będzie bardzo szczęśliwy.

— Ony! Życzę mu tego z całego serca, ale... Pilnujno dobrze twojej Józi, żeby jeszcze przed ślubem tobie i jemu jakiego figla nie wyplatała!...

— Oszalałaś, Kaziu?! Co ty masz właściwie na myśli?!

— Nic konkretnego, określonego, ale tak coś przeczuwam!

— Wstydz się! Jesteś do Józki uprzedzony!

— Wcale nie jestem uprzedzony, ale ja trochę baczniej i krytyczniej obserwuję niż kochająca przyjaciółka i zakochany narzeczony...

— E! Daj mi spokój...

— Już ci daję... Nie chcę ci przeszkadzać, bo tak pilnie znacysz tę chusteczkę dla Józi... Odchodzę, bo i ja mam sporo roboty...

Już we drzwiach rzucił jeszcze:

— A na Ludwika zechce trochę zwrócić uwagi... Jemu stanowczo coś jest... Ty go znasz lepiej odemnie, łatwiej będzie ci domyślić się i może zaradzić...

Walczak nie przesadzał wcale, mówiąc, że żona jego od kilku tygodni myśli jedynie o Józi i staraniach, związanych z jej małżeństwem i bliskim terminem ślubu.

Kłopotowała się i zajmowała wszystkimi drobiazgami daleko więcej, aniżeli Józia sama.

Walczakowa pomagała Michnikowi wybierać meble, bo Józia niewiele w tym kierunku okazała zainteresowania i na zapytanie narzeczonego, jakby życzyła sobie mieć urządzone mieszkanie, odpowiedziała:

— Wszystko mi jedno.

Wogóle to „wszystko mi jedno” słyszało się teraz często z ust Józi.

Michnik jednak, aż nadto przyzwyczajony do kaprysów Józi i coraz więcej zakochany, nie zrażał się tem.

Wynajął ładny parterowy domek z ogrodem i troskliwie urządzał miłą guzdko dla swego rajskiego ptaka.

Po wojnie miał zamiar starać się o posadę w Krakowie lub jakim innem większem mieście, w razie, gdyby Józia tego wymagała.

Ale ona nie nagliła wcale, nie stawiała żadnych żądań, a kiedy ją Władysław raz wprost o plany na przyszłość zagałnął, odparła obojętnie:

— Wszystko mi jedno... Wolę nawet w Zalesinkach, bo przy Anielce...

Radowało się więc pocziwe serce Michnika... I Józię miał będzie i od wsi swojej kochanej nie oderwie się...

Ślub, stosownie do życzenia Józi, miał się odbyć w Zalesinkach.

Walczakowa przejęła się zupełnie swoją rolą troskliwej matki, która zastępowała przyjaciółce i postanowiła wszystkie kłopoty wziąć na siebie.

Radca Maliniewicz miał zatem być gościem w cudzym domu na weselu własnego swego dziecka...

Odczuwał on niezwykłość tej sytuacji ale było mu to zbyt wygodnem, aby zamierzał protestować. Skoro bogata pani tak kocha jego córkę, że chce się na nią zaopiekować, ha! to niechże się opiekuje.

On miał dosyć tej opieki, kłopotów, przykrości przez lat ośmnaście.

Wyprawę dla Józi Walczakowa szyla w domu. Zaprzęgała do pracy swoją pannę służącą, zgrabną, firtwizą Jukę, sprowadziła dwie krawcowe, które od rana do wieczora siedziały przy maszynach do szycia.

Nazywało się, że to niby z pieniędzy pana radcy zakupuje się te wszystkie barwne materye, powiewne batysty, cienkie płótna, delikatne koronki, ale w istocie Anielka pokrywała z własnej kieszeni większą część kosztów.

Józia, która oddała Anielce do rozporządzenia pieniądze, przysłane przez ojca i mało interesowała się cenami, dawała się nieraz:

— Jakaś ty praktyczna, Anielko... Jak ty wszystko umiesz tanio kupić... Takie ładne rzeczy i tyle tego. Boże! Jakaś ty dobra, że tak się o mnie troszczysz... Już nie wiem, czyby rodzona matka mogła być lepszą. Czem ja na to zasłużyłam?...

— No, to staraj się zasłużyć, trzpiocie — odpowiadała ze śmiechem Walczakowa — nie płć, tylko zabieraj się do roboty... Nie myśl, że ci pozwolę próżnować... Masz, haftuj ten karczek do koszuli...

Zapowiedzi Józi i Michnika, ogłoszone przez zalesińskiego księdza, wywarły silne wrażenie.

Chłopi cieszyli się szczerze, że panna Józia zostanie z nimi i będzie panią nauczycielową.

Ładna Haniusia Jarząbkówna opowiadała każdemu, kto chciał lub nie chciał słuchać:

— A co? Nie gadałam? Nie przepowiadałam?... Inom się popatrzyła na pana nauczyciela i panu

Józię, tak zaraz se pomyślałam: Oho! Coś się święci...

Wśród koleżanek Michnika zawrzało, jak w mrowisku...

Każda z nauczycielek, która dawniej z góry spoglądała na Michnika, teraz czuła się pokrzywdzoną i obrażoną...

Wszystkie też, z wyjątkiem jednej Heli Lidzińskiej, na wyszyci doszukiwały się rozmaitych wad i braków w Józi i zgodnie decydowały, że Michnik robi największe pod słońcem głupstwo.

— Wprawdzie on wielkich wymagań mieć nie może... — mówiła wysoka, chuda, kanciasta panna Zajączkowska — ale zawsze, brać sobie taką lalkę, taką kokietkę... Z tam buzia niebrzydka... Ta odrobina świeżości! Takie typy więdną prędko. Za kilka lat będzie koczokodan...

Józia bowiem była tak zdecydowanie piękna, że wszystkie te dojrzałe i przejrzałe panny, pomimo najlepszych chęci, nie mogły jej nie przyznać urody.

Musiły się zadowolić przepowiednią dość problematyczną, że ze ślicznej dziewczyny za kilka lat zrobi się koczokodan.

Pan Zanietki, młody sąsiad Zalesinek, kiedy posłyszał nowinę, zawołał:

— Co? Ta szampańska dziewczyna dla tego chamciuka? *Pas possible!*... To będzie istotnie. Przywiąż kwiatek do kozucha... Chociaż... *Tant mieux pour les amis.* Dobrze mieć w bliskim sąsiedztwie taką ładną mężatczkę, która się nudzi... A że ona nudzić się będzie, to więcej niż pewne!

Michnik tych wszystkich uwag nie słyszał naturalnie, ale choćby je słyszał nawet, nie zamąciłyby jego szczytów, którym promieniał.

A Józia?

Ona, im bliższym był dzień ślubu, tem więcej nerwową i kapryśną się stawała, tem zmienniejsze okazywała usposobienie.

Czasem trudno sobie było dać z nią radę i niepodobna było zrozumieć. Najmniej dziesięć razy na dzień zmieniał się jej humor.

Niekiedy wpadała w jakąś szaloną, nienaturalną wesołość. Biegała, śmiała się, śpiewała, chciała naraz przymierzać wszystkie suknie i bluzki i w bardzo krótkim czasie umiała doprowadzić pokój, w którym się znajdowała, do stanu najwięszczego nieładu.

Te chwile podniecenia miały szybko i zwykle następowało po nich dzwone przygnębienie.

Józia bywała smutna, rozdrażniona, na pytania nie chciała odpowiadać, bez powodu wybuchła płaczem i zwykle w takich razach uciekała do swego pokoju, zamykając drzwi na klucz.

Czasem stawała się nagle cicha, łagodna, dobra, pilna. Wtedy zaczynała zajmować się swoją wyprawą, oglądała każdą chustkę, każdą ściereczkę, zasiadała do roboty i szyla starannie, snując głośno myśli o tem, jak to ona gospodarować będzie w swoim domu, jak uprzyjemniać życie Władkowi.

Wówczas zdawała się być wcielonym ideałem skromnej, mało wymagającej, pracowitej kobiety...

Postępowanie Józi względem narzeczonego nacechowane było tą samą kapryśną zmiennością.

Czasem, w przystępie jakiejś egzaltowanej czułości, rzuciła mu się pierwszą na szyję — kiedy indziej odpychała go z niemiłym wcale wstętem.

Głoby Michnik był mniej zakochany, a więcej krytyczny — musiałoby mu to dać do myślenia.

Ale on Józi nie analizował — kochał ją tylko.

Jedynie Walczakowa umiała niekiedy seruecznem słowem albo surową wymówką okiełzać kaprysy Józi, ale młoda kobieta zbyt była zajęta przygotowaniem przedślubnymi dla przyjaciółki, aby zwracać baczniejszą uwagę na jej humory.

Dziwaczne i nierówne usposobienie Józi tłumaczyła sobie panińskim zdemerowaniem.

Dziwiła się jednak nieraz w duchu, że u niej przed ślubem ani śladu czegoś podobnego nie było.

— Różnica usposobienia, a może i wychowania... — tłumaczyła sobie, skłonna zawsze brać wszystko z najlepszej strony, zwłaszcza u Józi...

(Ciąg dalszy nastąpi)